

Trudna profesja Jonasa Kremmera

(z cyklu *Piękny świat*)

To nie jest zwyczajny deszcz. I to nie są normalne deszczowe chmury. Leon Bolt z obrzydzeniem pomieszanym z odrobiną lęku spojrzął znów w okno. Strugi wody płynęły po szybie jednostajnie, z ponurą zawziętością, łącząc się co chwila i rozdzielając, jakby bezustannie zaplatały i rozplatały gruby dziewczęcy warkocz. Ledwo co widać, a przecież nie jest jeszcze tak późno. Można by pomyśleć, że wieży przy ratuszu wcale nie ma. Zaraz, spokojnie, Bolt poskrobał się po głowie. Przecież jest, zawsze tu była. Rozum można stracić przez taką ulewę. Dziesięć dni nieustających opadów. Dzień, noc. Noc, dzień. Ani jednej godziny przerwy, ani minuty spokoju. Strumień spod przełęczy już podobno wygląda jak wielka rwąca rzeka. Dobrze, że tamtej wiosny solidnie umocnili brzegi; strach pomyśleć, jak by się teraz czuli ludzie z osady, gdyby było inaczej. A tory? Czy aby nie grozi im podmycie? Jest taki, na szczęście krótki odcinek pod urwiskiem, gdy pociąg wyjeżdża z tunelu... Woda z dołu i woda z góry. Poza tym wszędzie twarda skała.

Nie, to nie jest zwyczajny mokry, chłodny niż, jaki co roku pod koniec lata schodzi w dolinę ze szczytów okolicznych gór i na parę dni zagania pod dach wszystkich jednakowo, – mieszkańców, turystów – już trochę zmęczonych późnosierpniowym upałem. Nie, to coś wyjątkowego. Podobno raz na pięćdziesiąt lat spada na miasteczko zmora. Tak mówi Gertruda, a starej Gerti trudno nie wierzyć. Sprząta na komisariacie od trzydziestu lat, niejedno w życiu widziała. Może warto ją podpytać, nadal stuka miotłą w tym swoim składziku. Od jakiegoś czasu pomaga jej wnuczka, mała Gabi. Jaka tam ona mała; na myśl o pulchnej, różowej dziewczynie komisarz oblizał się łakomie. Jak to mu kiedyś powiedziała? „Panie Leonie, świetnie pan wygląda w tej paradnej czapce”.

Bolt odpiął gruby skórzany pas, zwinął i odłożył na półkę, kaburę z pistoletem chowając do środka. Warto by przebić nową dziurkę, jak długo jeszcze będzie męczył się z tym dopinaniem? Policjant w jego wieku nie może być chudy, to wbrew biologii i poniekąd przeciw... regulaminowi. Poza tym – kobiety nie lubią kościstych. Rozpiął guziki munduru, rozluźnił krawkę i ciężko opadł na fotel. Koniec służby, dalej to już zmartwienie aspiranta Grogero. Niech teraz on męczy się z aresztantem. Aresztant, mój Boże, Bolt skrzywił się z niechęcią. Jaki komisariat, taki też aresztant. Nie, nie wolno narzekać, to nie jest zła praca. To jest bardzo dobra praca. Bardzo, bardzo dobra. Z sąsiedniego pokoju doszedł zapach topionej czekolady. Grogero robi swój mus. Zawsze przed nocną służbą przygotowuje solidny kociołek. Ciekawe, czy doda tym razem Martela, czy kieliszek kirszu? A migdałowy aromat?

Zawsze o to jest spór. „Ja wiem, panie komisarzu, że to wbrew zasadom, ale w moich stronach...”. Bolt poczuł ssanie w brzuchu. To znak, że czas zbierać się do domu, do żony na kolację, ale komu chce się wychodzić w taką ulewę? Postukał się w głowę. O dziewiętnastej ma przyjechać Kremmer. A to znaczy, że jeszcze długo będzie musiał wachać ten okropny aromat. Jakby ktoś dodał do kremu cyjanek. Wzdrygnął się, po plecach przeszedł mu zimny dreszcz. Czy to z powodu Jonasa Kremmera, czy przez migdały Franza Grogero? Niech tam, jakoś zagospodaruje czas, przejrzy jeszcze raz ostatecznie nabytki zielnika. Żółta arnika jest szczególnie ładna. Nadaje się na okładkę. Jeszcze parę miesięcy pracy i będzie mógł wysłać zielnik na konkurs do stolicy kantonu. Podszedł do okna. To nie jest zwyczajny deszcz.

Kremmer przyjechał punktualnie.

– W moim zawodzie punktualność to obowiązek. Dziennikarze, którzy mają na ten temat inny pogląd, a niestety jest ich wielu, zbyt wielu, nie zasługują na zaufanie. – Kremmer zdjął kapelusz, płaszcz i strząsając wodę powiesił je na wieszaku koło drzwi. – Nie uznaję parasoli, bo stale je gubię, ale jak widać – to czasem duży błąd. Wysiadając z auta przemokłem w jednej chwili do nitki. Co się dzieje, komisarzu? Macie tu biblijny potop? Pora zabrać się za budowanie arki. Drzew wam nie brakuje. Słyszeliście? Nie? Dziwne – nadstawił ucho. – Pewnie wiatr przewrócił kosz na ulicy. Albo lampę.

Kiwnął głową z aprobatą, gdy Bolt zaprosił go do swojego gabinetu i zaproponował – zgodnie z odwiecznym rytuałem ich spotkań – po butelce piwa. „Po służbie. Już jestem po służbie, witaj stary druhu”. Przy słowie „druhu” komisarz zakrztusił się jednak.

– „Górskie Pełne”? Jak wiesz, nie przepadam, ale lepsze i tak od tych duńskich i holenderskich popłuczyn. Wciąż herboryzujesz? – Kremmer wskazał na zielnik, r. Rozsiadł się wygodnie na krześle, wyjął z kieszeni wymiętej marynarki nie mniej wymięte pudełko papierosów bez filtra, wyjął jednego, spojrzał na niego z niesmakiem, obrócił parę razy w palcach, westchnął, przypalił od stojącej na biurku komisarza dużej zapalniczki i zaciągnął się głęboko. Pociągnął parę łyków z butelki, zagryzł solonymi orzeszkami wyciągniętymi z czeluści kieszeni. Zakasłał parę razy głucho – Bolt skulił się w fotelu – i przez chwilę słuchali odgłosów dochodzących z innych części komisariatu. Komisarz mimowolnie spojrzał na zegarek: 19.30 – tradycyjnie luxtorpeda do stolicy. Jeśli przejeżdża przez miasteczko przed czasem, franka do skarbonki wrzuca on, jeśli już po – Grogero. Zegara pilnuje ten, kto aktualnie ma dyżur. Gdy skarbonka się wypełni – taka jest umowa – kupią sobie dwunastoletnią whisky. Zerknął znowu. 19.35. Ależ opóźnienie. Dziś płaci aspirant. Świetnie! – ucieszył się – ostatnio wciąż przegrywał.

– Stara Gerti jeszcze sprząta – odezwał się po chwili dziennikarz. – A raczej udaje, że sprząta. Pewno popijają z wnuczką orzechową nalewkę. Jak się ma Gabrysia? Wciąż taka krągła, apetyczna? Czy pan komisarz już podjął jakieś kroki? Racja, nie warto się spieszyć, gołąbek sam przyleci. A pan aspirant pichci swój migdałowy mus. Aresztant Röstli nuci w celi „Miałbym cię, gdybym tylko chciał”. Bardzo *à propos*, nieprawdaż? Jak długi pobyt załatwił sobie tym razem? Tydzień? Niewiele, ale ma szansę przeczekać ten deszcz. A zatem bez zmian. U was – jak widzę, a raczej słyszę – bez zmian. Wygląda na to, że przyjechałem na darmo. Piąty komisariat już dzisiaj odwiedzam, nie licząc paru posterunków, i wszędzie to samo. Albo nie dzieje się nic, albo wszyscy skrzętnie przede mną wszystko ukrywają. A dla mnie – podniósł głos – każda informacja to kupiony kolejny dzień życia. Parszywego życia – wyjaśnił Boltowi, jakby ten nie słyszał monologów dziennikarza po raz nie wiadomo który. – Co to za świat – niesmak na twarzy Kremmera pogłębił się. – Czy ludzie w tym kraju nie są spragnieni nowości? Otwierasz gazetę – na pierwszej stronie, przez dwie kolumny reportaż z otwarcia wystawy hodowców bydła. Pasjonujące. Dla bydła. Na drugiej i trzeciej analizy spożycia czekolady i kawy. Jakby jedynym czytelnikiem naszej „Neue Zeitung” był – z całym szacunkiem – aspirant Grogero. Włączasz telewizję – połowę wiadomości wypełnia relacja z konkursu pianistycznego. Jakie to emocje, jak ekscytujące. Dużą część wieczoru i kawałek nocy pochłania zajmująca dyskusja na temat zdrowia psychicznego młodych żon i matek. Napięcie wciąż rośnie. Żebyś nie eksplodował – na koniec programu poetka czyta szeptem swoje wiersze. Radio nadaje wiadomości trzy razy dziennie i jeśli się spóźnisz rano, –dopiero po południu powiedzą ci – i tak się za wiele nie dowiesz – kto, co, jak i dlaczego. Ale popołudnie – dzielny komisarzu Bolt – to dla rasowego dziennikarza już inna epoka. Masz więc antyk i współczesność razem. Dwa w jednym. Odpalasz Internet – wszędzie festiwale muzyczne, ekonomiczne poważne debaty, targi zdrowej żywności, targi książki, targi sztuki. Klik i już jesteś... w galerii grafiki, klik – kupujesz mieszankę cudownych ziół alpejskich, klik-klik, do snu utuli cię łagodna ballada. A gdzie – pytam wyraźnie i głośno – gdzie sól i pieprz dziennikarstwa, gdzie wieści z kraju i ze świata, gdzie sensacje, skandale, plotki o narkotykach, romansach, gdzie rozebrane dziewczyny, gdzie mrozące krew w żyłach relacje: z katastrof, zabójstw, napadów z bronią w ręku, terrorystycznych ataków, zamachów, rozbojów, gwałtów, a choćby i skromnych drogowych wypadków, malutkich, niewielkich, ty-ci-tyci, takich na dwie, a choćby i na jedną niewinną ofiarę. Bo przecież są: katastrofy, rabunki, wypadki. Niewiele tego, tyle co kot napłakał, ale są – nie zaprzeczaj kolego – są, a jakby ich w ogóle nie było.



Kremmer podniósł się z krzesła, otworzył szeroko drzwi gabinetu, chwycił za ramię Bolta, który udawał, że się opiera i broni, i pociągnął komisarza do głównej sali. Zatrzymał się na moment i spytał sam siebie:

– Czy jest gdzieś inny, lepszy świat? Świat Jonasa Kremmera? Gdzie żyją tacy jak ja faceci, którzy wywęszą, wyniuchają każdą padlinę, każde ścierwo, którzy z ukrycia zrobią zdjęcie pani burmistrzowej, gdy klęczy golusienka przed młodym sekretarzem jej męża i robi mu laskę.? Fotkę, którą wszyscy zobaczą na pierwszej stronie gazety już dnia następnego. Czy taki świat jest w ogóle możliwy do pomyślenia?... Hej, Bolt, czemu ty się tak wpatrujesz w ten zegarek? Stał ci po raz pierwszy w życiu? Ha, ha! A co na to Gabrysia?

Aspirant Grogero siedział przy stole za barierkami w pozie sprężonego gotowego do działania, czujnego i gotowego na wszystko gliny.

– Chodźcie i wy: Gertrudo i moja śliczna Gabi – krzyknął głośno dziennikarz. – Posłuchacie, co mam do powiedzenia tym okropnym ludziom. Franz, nie udawaj ostrego alzackiego owczarka, bo ledwie jesteś ledwie rudym wyliniałym lisem. I schowaj gdzieś, na Boga, miskę z czekoladowym sosem, bo mnie już głowa boli od tego obrzydliwego zapachu. Röstli, przyjacielu, przestań wreszcie udawać Placido i wystaw ucho przez kratę. Ależ leje – popatrzył w okno. – To, moi drodzy, nie jest zwyczajny deszcz...

Ryszard Lenc